

**SCHULZ**

**BRUNO**

SKLEPY

CYNAMONOWE

Schulz Bruno

**Sklepy cynamonowe**

«Public Domain»

## **Bruno S.**

Sklepy cynamonowe / S. Bruno — «Public Domain»,

Jeden z najbardziej oryginalnych zbiorów opowiadań literatury dwudziestolecia międzywojennego, debiut wydawniczy Brunona Schulza, opublikowany w 1934 w dużej mierze dzięki wsparciu Zofii Nałkowskiej. Narrator opowiadań — Józef — snując oniryczną opowieść cofa się do wspomnień i doświadczeń z czasów dzieciństwa. Opisywana przez niego rzeczywistość rozmywa się, najbardziej prozaiczne wydarzenia nabierają cech surrealistycznych. Widziane z takiej perspektywy miasto jest fantasmagorycznym tworem, niemal labiryntem. Ojciec magiem i demiurgiem z pogranicza snu i jawy. Przeżycia z czasu młodości urastają do rangi mitu. Schulz był artystą wszechstronnym, pisarzem, malarzem i krytykiem, jednak pozostało po nim niewiele opublikowanych tekstów. Poza Sklepami cynamonowymi do druku trafiło Sanatorium pod Klepsydrą, pojedyncze opowiadania i teksty krytyczne oraz zbiory listów. Powieść Mesjasz, nad którą pracował, zaginęła w czasie II Wojny światowej, a wokół jej dalszych losów narosły legendy.

© Bruno S.

© Public Domain

## Содержание

Sierpień	6
1	6
2	8
3	10
Nawiedzenie	12
1	12
2	15
Ptaki	17
Manekiny	20
Конец ознакомительного фрагмента.	24

# Bruno Schulz

## Sklepy cynamonowe (zbiór)

Jeden z najbardziej oryginalnych zbiorów opowiadań literatury dwudziestolecia międzywojennego, debiut wydawniczy Brunona Schulza, opublikowany w 1934 w dużej mierze dzięki wsparciu Zofii Nałkowskiej.

Narrator opowiadań – Józef – snując oniryczną opowieść cofa się do wspomnień i doświadczeń z czasów dzieciństwa. Opisywana przez niego rzeczywistość rozmywa się, najbardziej prozaiczne wydarzenia nabierają cech surrealistycznych. Widziane z takiej perspektywy miasto jest fantasmagorycznym tworem, niemal labiryntem. Ojciec magiem i demiurgiem z pogranicza snu i jawy. Przeżycia z czasu młodości urastają do rangi mitu.

Schulz był artystą wszechstronnym, pisarzem, malarzem i krytykiem, jednak pozostało po nim niewiele opublikowanych tekstów. Poza *Sklepami cynamonowymi* do druku trafiło *Sanatorium pod Klepsydrą*, pojedyncze opowiadania i teksty krytyczne oraz zbiory listów. Powieść *Mesjasz*, nad którą pracował, zaginęła w czasie II Wojny światowej, a wokół jej dalszych losów narosły legendy.

# Sierpień

## 1

W lipcu ojciec mój wyjeżdżał do wód i zostawiał mnie z matką i starszym bratem na pastwę białych od żaru i oszałamiających dni letnich. Wertowaliśmy, odurzeni światłem, w tej wielkiej księdze wakacji, której wszystkie karty pałały od blasku i miały na dnie słodki do omdlenia miąższ złotych gruszek.

Adela wracała w świetliste poranki, jak Pomona<sup>1</sup> z ognia dnia rozżagwionego<sup>2</sup>, wysypując z koszyka barwną urodę słońca – lśniące, pełne wody pod przejrzystą skórką czereśnie, tajemnicze, czarne wiśnie, których woń przekraczała to, co ziszczało się w smaku; morele, w których miąższu złotym był rdzeń długich popołudni; a obok tej czystej poezji owoców wyładowywała nabrzmiałe siłą i pożywnością płaty mięsa z klawiaturą żeber cielęcych, wodorosty jarzyn, niby zabite głowonogi i meduzy – surowy materiał obiadu o smaku jeszcze nie uformowanym i jałowym, wegetatywny<sup>3</sup> i, telluryczne<sup>4</sup> ingredience<sup>5</sup> obiadu o zapachu dzikim i polnym.

Przez ciemne mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy w rynku przechodziło co dzień na wskroś całe wielkie lato: cisza drgających słojów powietrznych, kwadraty blasku, śniące żarliwy swój sen na podłodze; melodia katarynki, dobytą z najgłębszej złotej żyły dnia; dwa, trzy takty refrenu, granego gdzieś na fortepianie wciąż na nowo, mdlejące w słońcu na białych trotuarach<sup>6</sup>, zagubione w ogniu dnia głębokiego. Po sprzątaniu Adela zapuszczała cień na pokoje, zasuwając płócienne story. Wtedy barwy schodziły o oktawę głębiej, pokój napełniał się cieniem, jakby pogrążony w światło głębi morskiej, jeszcze mętniej odbity w zielonych zwierciadłach, a cały upał dnia oddychał na storach, lekko falujących od marzeń południowej godziny.

W sobotnie popołudnia wychodziłem z matką na spacer. Z półmroku sieni wstępowało się od razu w słoneczną kąpiel dnia. Przechodnie, brodząc w złocie, mieli oczy zmrużone od żaru, jakby zalepione miodem, a podciągnięta górna warga odsłaniała im dziąsła i zęby. I wszyscy brodzący w tym dniu złocistym mieli ów grymas skwaru, jak gdyby słońce nałożyło swym wyznawcom jedną i tę samą maskę – złotą maskę bractwa słonecznego; i wszyscy, którzy szli dziś ulicami, spotykali się, mijali, starcy i młodzi, dzieci i kobiety, pozdrawiali się w przejściu tą maską, namalowaną grubą, złotą farbą na twarzy, szczyrzyli do siebie ten grymas bakchiczny<sup>7</sup> – barbarzyńską maskę kultu pogańskiego.

Rynek był pusty i żółty od żaru, wymieciony z kurzu gorącymi wiatrami, jak biblijna pustynia. Cierniste akacje, wyrosłe z pustki żółtego placu, kipiały na nim jasnym listowiem, bukietami szlachetnie ucłótkowanych filigranów<sup>8</sup> zielonych, jak drzewa na starych gobelinach<sup>9</sup>. Zdawało się, że te drzewa afektują wicher, wzburzając teatralnie swe korony, ażeby w patetycznych przegięciach ukazać wytworność wachlarzy listnych o srebrzystym podbrzuszu, jak lustra szlachetnych lisic. Stare domy, polerowane wiatrami wielu dni, zabarwiały się refleksami wielkiej atmosfery, echami, wspomnieniami barw, rozproszonymi w głębi kolorowej pogody. Zdawało się, że całe generacje

---

<sup>1</sup> *Pomona* (mit. rzym.) – bogini urodzaju. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *rozżagwiony* – płonący; od *żagiew* – kawał płonącego drewna. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *wegetatywny* – tu: roślinny. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *telluryczny* – odnoszący się do Ziemi. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *ingredienca* (z łac.) – składnik. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *trotuar* – chodnik. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *bakchiczny* (mit. rzym.) – związany z Bachusem, bogiem wina. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *filigran* – ornament z cienkich drucików. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *gobelin* – tkanina dekoracyjna przedstawiająca jakąś scenę na podobieństwo obrazu. [przypis edytorski]

dni letnich (jak cierpliwi sztukatorzy<sup>10</sup>, objający stare fasady z pleśni tynku) obtłukiwały kłamiwą glazurę<sup>11</sup>, wydobywając z dnia na dzień wyraźniej prawdziwe oblicze domów, fizjonomię losu i życia, które formowało je od wewnątrz. Teraz okna, oślepienie blaskiem pustego placu, spały; balkony wznawały niebu swą pustkę; otwarte sienie pachniały chłodem i winem.

Kupka obdartusów, ocalała w kącie rynku przed płomienną miotłą upału, oblegała kawałek muru, doświadczając go wciąż na nowo rzutami guzików i monet, jak gdyby z horoskopu tych metalowych krążków odczytać można było prawdziwą tajemnicę muru, porysowanego hieroglifami<sup>12</sup> rys i pęknięć. Zresztą rynek był pusty. Oczekiwało się, że przed tę sień sklepioną z beczkami winiarza podjedzie w cieniu chwiejących się akacji osiołek samarytanina<sup>13</sup>, prowadzony za uzdę, a dwóch pachółków zawlecze troskliwie chorego męża z rozpalonego siodła, ażeby go po chłodnych schodach wnieść ostrożnie na pachnące szabasem<sup>14</sup> piętro.

Tak wędrowaliśmy z matką przez dwie słoneczne strony rynku, wodząc nasze załamane cienie po wszystkich domach, jak po klawiszach. Kwadraty bruku miały powoli pod naszymi miękkimi i płaskimi krokami – jedne bladoróżowe, jak skóra ludzka, inne złote i sine, wszystkie płaskie, ciepłe, aksamitne na słońcu, jak jakieś twarze słoneczne, zdeptane stopami aż do niepoznaki, do błogiej nicości.

Aż wreszcie na rogu ulicy Stryjskiej weszliśmy w cień apteki. Wielka bania z sokiem malinowym w szerokim oknie aptecznym symbolizowała chłód balsamów, którym każde cierpienie mogło się tam ukoić. I po paru jeszcze domach ulica nie mogła już utrzymać nadal *decorum*<sup>15</sup> miasta, jak chłop, który wracając do wsi rodzinnej, rozdziwia się po drodze z miejskiej swej elegancji, zamieniając się powoli, w miarę zbliżania do wsi, w obdartusa wiejskiego.

Przedmiejskie domki tonęły wraz z oknami, zapadnięte w bujnym i pogmatwanym kwitnieniu małych ogródków. Zapomniane przez wielki dzień, pleniły się bujnie i cicho wszelkie zieleń, kwiaty i chwasty, rade<sup>16</sup> z tej pauzy, którą prześnić mogły za marginesem czasu, na rubieżach nieskończonego dnia. Ogromny słonecznik, wydzwignięty na potężnej łodydze i chory na elephantiasis<sup>17</sup>, czekał w żółtej żałobie ostatnich, smutnych dni żywota, uginając się pod przerostem potwornej korpulencji<sup>18</sup>. Ale naiwne przedmiejskie dzwonki i perkalikowe<sup>19</sup>, niewybredne kwiatuszki stały bezradne w swych nakrochmalonych, różowych i białych koszulkach, bez zrozumienia dla wielkiej tragedii słonecznika.

---

<sup>10</sup> *sztukator* – rzemieślnik wyrabiający sztukaterie, zdobienia ścian i sklepień wykonane z gipsu lub stiuku. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *glazura* – typ szkliva służącego do pokrywania wyrobów ceramicznych. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *hieroglify* – rodzaj starożytnego pisma obrazkowego. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *osiołek samarytanina* – fragment odnosi się do przypowieści o dobrym Samarytaninie, który jako jedyny zaopiekował się pobitym Żydem, pomimo napięć religijnych i etnicznych dzielących ówczesnie obie nacje. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *szabas* – żydowski dzień święty, wypadający w sobotę, poświęcany odpoczynkowi i modlitwie, w którym nie wolno pracować. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *decorum* – zasada dostosowania formy utworu do jego treści. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *rad* (daw.) – zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *elephantiasis* a. *stoniowacizna* – choroba polegająca na patologicznym zgrubieniu nóg i krocza. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *korpulencja* – otyłość. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *perkal* – tanie, cienkie płótno bawełniane. [przypis edytorski]

## 2

Splątany gąszcz traw, chwastów, zielska i bodiaków<sup>20</sup> buzuje w ogniu popołudnia. Huczy rójwiskiem much popołudniowa drzemka ogrodu. Złote ściernisko krzyczy w słońcu jak ruda szarańcza; w rześnym deszczu ognia wrzeszczą świerszcze; strąki nasion eksplodują cicho jak koniki polne.

A ku parkanowi kozuch traw podnosi się wypukłym garbem-pagórem, jak gdyby ogród obrócił się we śnie na drugą stronę i grube jego, chłopskie bary oddychają ciszą ziemi. Na tych barach ogrodu niechlujna, babska bujność sierpnia wyolbrzymiała w głuche zapadliska ogromnych łopuchów, rozpanoszyła się ozorami mięsistej zieleni. Tam te wyłupiaste pałuby<sup>21</sup> łopuchów wybałuszyły się jak babska szeroko rozsiadłe, na wpeł pożarte przez własne oszalałe spódnice. Tam sprzedawał ogród za darmo najtańsze krupy dzikiego bzu, śmierdzącą mydłem, grubą kaszę babek, dziką okowitę mięty i wszelką najgorszą tandetę sierpniową. Ale po drugiej stronie parkanu, za tym matecznikiem lata, w którym rozrasta się głupota zidiociałych chwastów, było śmietnisko zarosłe dzikim bodakiem. Nikt nie wiedział, że tam właśnie odprawiał sierpień tego lata swoją wielką, pogańską orgię. Na tym śmietniku, oparte o parkan i zarośnięte dzikim bzem, stało łóżko skretyniałej dziewczyny Tłui. Tak nazywaliśmy ją wszyscy. Na kupie śmieci i odpadków, starych garnków, pantofli, rumowiska i gruzu stało zielono malowane łóżko, podparte zamiast brakującej nogi dwiema starymi ceglami.

Powietrze nad tym rumowiskiem, zdziczałe od żaru, cięte błyskawicami lśniących much końskich, rozwścieczonych słońcem, trzeszczało jak od nie widzianych grzechotek, podniecając do szału.

Tłuja siedzi przykucnięta wśród żółtej pościeli i szmat. Wielka jej głowa jeży się wiechciem czarnych włosów. Twarz jej jest kurczliwa jak miech harmonii. Co chwila grymas płaczu składa tę harmonię w tysiąc poprzecznych fałd, a zdziwienie rozciąga ją z powrotem, wygładza fałdy, odsłania szparki drobnych oczu i wilgotne dziąsła z żółtymi zębami pod ryjowatą, mięsistą wargą. Mijają godziny pełne żaru i nudy, podczas których Tłuja gaworzy półgłosem, drzemie, zrzędzi z cicha i chrząka. Muchy obsiadają nieruchomą gęstym rojem. Ale z nagła ta cała kupa brudnych gałganów, szmat i strzępów zaczyna poruszać się, jakby ożywiona chrobotem łęgnących się w niej szczurów. Muchy budzą się spłoszone i podnoszą wielkim, huczącym rojem, pełnym wściekłego bzykania, błysków i migotań. I podczas gdy gałgany zsypują się na ziemię i rozbiegają po śmietniku jak spłoszone szczury, wygrzebuje się z nich, odwija z wolna jądro, wyłuszcza się rdzeń śmietniska: na wpeł naga i ciemna kretynka dźwiga się powoli i staje, podobna do bożka pogańskiego, na krótkich, dziecinnych nóżkach, a z napęczniałej napływem złości szyi, z poczerwieniałej, ciemniejącej od gniewu twarzy, na której, jak malowidła barbarzyńskie, wykwitają arabeski<sup>22</sup> nabrzmiałych żył, wyrwa się wrzask zwierzęcy, wrzask chrapliwy, dobyty ze wszystkich bronchij<sup>23</sup> i puszczalek pół zwierzęcej, pół boskiej piersi. Bodiaki, spalone słońcem, krzyczą, łopuchy puchną i pyszną się bezwstydnym mięsem, chwasty ślinią się błyszczącym jadem, a kretynka, ochrypła od krzyku, w konwulsji dzikiej uderza mięsistym łonem z wściekłą zapalczywością w pień bzu dzikiego, który skrzypi cicho pod natarczywością tej rozpustnej chuci<sup>24</sup>, zaklinany całym tym nędzarskim chórem do wynaturzonej, pogańskiej płodności.

<sup>20</sup> *bodiak* (reg.) – gatunek ostu. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *pałuba* (daw.) – niezgrabna kukielka, także brzydka kobieta przypominająca kukłę. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *arabeska* – symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *bronchia* (łac.) – oskrzela. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *chuć* — popęd seksualny, podniecenie. [przypis edytorski]

Matka Tłui wynajmuje się gospodyniom do szorowania podłóg. Jest to mała, żółta jak szafran<sup>25</sup> kobieta i szafranem zaprawia też podłogi, jodłowe stoły, ławy i szlabany, które w izbach ubogich zmywa. Raz zaprowadziła mnie Adela do domu tej starej Maryśki. Była wczesna poranna godzina, weszliśmy do małej izby niebiesko bielonej, z ubitą polepą<sup>26</sup> glinianą na podłodze, na której leżało wczesne słońce, jaskrawożółte w tej ciszy porannej, odmierzanej przeraźliwym szczękiem chłopskiego zegara na ścianie. W skrzyni na słomie leżała głupia Maryśka, blada jak opłatek i cicha jak rękawiczka, z której wysunięto dłoń. I jakby korzystając z jej snu, gadała cisza, żółta, jaskrawa, zła cisza, monologowała, kłóciła się, wygadywała głośno i ordynarnie swój maniacki monolog. Czas Maryśki – czas więziony w jej duszy, wystąpił z niej straszliwie rzeczywisty i szedł samopas<sup>27</sup> przez izbę, hałaśliwy, huczący, piekielny, rosnący w jaskrawym milczeniu poranka z głośnego młynazegara, jak zła mąka, sypka mąka, głupia mąka wariatów.

---

<sup>25</sup> *szafran* – ciemnopomarańczowa przyprawa uzyskiwana z krokusów. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *polepą* – klepisko, podłoga ubita z gliny zmieszanej z sieczką. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *samopas* (daw.) – bez opieki. [przypis edytorski]

### 3

W jednym z tych domków, otoczonym sztachetami brązowej barwy, tonącym w bujnej zieleni ogródka, mieszkała ciotka Agata. Wchodząc do niej, mijaliśmy w ogrodzie kolorowe szklane kule, tkwiące na tyczkach, różowe, zielone i fioletowe, w których zakłute były całe światlane i jasne światy, jak te idealne i szczęśliwe obrazy, zamknięte w niedościgłej doskonałości baniek mydlanych.

W półciemnej sieni ze starymi oleodrukami<sup>28</sup>, pożartymi przez pleśń i oślepyłymi od starości, odnajdowaliśmy znany nam zapach. W tej zaufanej starej woni mieściło się w dziwnie prostej syntezie życie tych ludzi, alembik<sup>29</sup> rasy, gatunek krwi i sekret ich losu, zawarty niedostrzegalnie w codziennym mijaniu ich własnego odrębnego czasu. Stare, mądre drzwi, których ciemne westchnienia wpuszczały i wypuszczały tych ludzi, milczący świadkowie wchodzenia i wychodzenia matki, córek i synów – otworzyły się bezgłośnie jak odrzwia szafy, i weszliśmy w ich życie. Siedzieli jakby w cieniu swego losu i nie bronili się – w pierwszych niezręcznych gestach wydali nam swoją tajemnicę. Czyż nie byliśmy krwią i losem spokrewnieni z nimi?

Pokój był ciemny i aksamitny od granatowych obić ze złotym deseniem, lecz echo dnia płomiennego drgało i tutaj jeszcze mosiądzem na ramach obrazów, na klamkach i listwach złotych, choć przepuszczone przez gęstą zieleń ogrodu. Spod ściany podniosła się ciotka Agata, wielka i bujna, o mięsie okrągłym i białym, cętkowanym rudą rdzą piegów. Przysiedliśmy się do nich, jakby na brzeg ich losu, zawstyżeni trochę tą bezbronnością, z jaką wydali się nam bez zastrzeżeń, i piliśmy wodę z sokiem różanym, napój przedziwny, w którym znalazłem jakby najgłębszą esencję tej upalnej soboty.

Ciotka narzekała. Był to zasadniczy ton jej rozmów, głos tego mięsa białego i płodnego, bującego już jakby poza granicami osoby, zaledwie luźnie utrzymywanej w skupieniu, w więzach formy indywidualnej, i nawet w tym skupieniu już zwielokrotnionej, gotowej rozpaść się, rozgałęzić, rozsypać w rodzinę. Była to płodność niemal samoródcza, kobiecość pozbawiona hamulców i chorobliwie wybujała.

Zdawało się, że sam aromat męskości, zapach dymu tytoniowego, dowcip kawalerski mógł dać impuls tej zaognionej kobiecości do rozpustnego dzieworództwa<sup>30</sup>. I właściwie wszystkie jej skargi na męża, na służbę, jej troski o dzieci były tylko kapryszaniem i dąsaniem się nie zaspokojonej płodności, dalszym ciągiem tej opryskliwej, gniewnej i płacziwej kokieterii, którą nadaremnie doświadczała męża. Wuj Marek, mały, zgarbiony, o twarzy wyjąłowionej z płci, siedział w swym szarym bankructwie, pogodzony z losem, w cieniu bezgranicznej pogardy, w którym zdawał się wypoczywać. W jego szarych oczach tlił się żar ogrodu, rozpięty w oknie. Czasem próbował słabym ruchem robić jakieś zastrzeżenia, stawiać opór, ale fala samowystarczalnej kobiecości odrzuciła na bok ten gest bez znaczenia, przechodziła triumfalnie mimo<sup>31</sup> niego, zalewała szerokim swym strumieniem słabe podrygi męskości.

Było coś tragicznego w tej płodności niechlujnej i nieumiarkowanej, była nędza kreatury na granicy nicości i śmierci, był jakiś heroizm kobiecości triumfujący urodzajnością nawet nad kalectwem natury, nad insuficjencją<sup>32</sup> męczyzny. Ale potomstwo ukazywało rację tej paniki macierzyńskiej, tego szału rodzenia, który wyczerpywał się w płodach nieudanych, w efemerycznej generacji fantomów<sup>33</sup> bez krwi i twarzy.

---

<sup>28</sup> *oleodruk* – przemysłowo wykonana reprodukcja przypominająca obraz olejny. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *alembik* – naczynie laboratoryjne służące do destylacji. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *dzieworództwo* – rozwój organizmu z komórki jajowej, która nie została zapłodniona. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *mimo* (daw.) – obok. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *insuficjencja* (z łac.) – niewystarczalność. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *fantom* – zjawia. [przypis edytorski]

Weszła Łucja, średnia, z głową nazbyt rozkwitłą i dojrzałą na dziecięcym i pulchnym ciele o mięsie białym i delikatnym. Podała mi rączkę lalkowatą, jakby dopiero pączkującą, i zakwitła od razu całą twarzą, jak piwonia przelewająca się pełnią różową. Nieszczęśliwa z powodu swych rumieńców, które bezwstydnie mówiły o sekretach menstruacji, przymykała oczy i płoniła się jeszcze bardziej pod dotknięciem najobojętniejszego pytania, gdyż każde zawierało tajną aluzję do jej nadwrażliwego panieństwa.

Emil, najstarszy z kuzynów, z jasnobłond wąsem, z twarzą, z której życie zmyło jakby wszelki wyraz, spacerował tam i z powrotem po pokoju, z rękami w kieszeniach fałdzistych spodni.

Jego strój elegancki i drogocenny nosił piętno egzotycznych krajów, z których powrócił. Jego twarz, zwiędła i zmętniała, zdawała się z dnia na dzień zapominać o sobie, stawać się białą pustą ścianą z bladą siecią żyłek, w których, jak linie na zatartej mapie, płątały się gasnące wspomnienia tego burzliwego i zmarnowanego życia. Był mistrzem sztuk karcianych, palił długie, szlachetne fajki i pachniał dziwnie zapachem dalekich krajów. Z wzrokiem wędrującym po dawnych wspomnieniach opowiadał przedziwne anegdoty, które w pewnym punkcie urywały się nagle, rozpręgały i rozwiewały w nicość. Wodziłem za nim tęsknym wzrokiem, pragnąc, by zwrócił na mnie uwagę i wybawił mnie z udręki nudów. I w samej rzeczy zdawało mi się, że mrugnął do mnie oczyma, wychodząc do drugiego pokoju. Podążyłem za nim. Siedział nisko na małej kozetce<sup>34</sup>, z kolanami krzyżującymi się niemal na wysokości głowy, łysej jak kula bilardowa. Zdawało się, że to ubranie samo leży, fałdziste, zmięte, przerzucone przez fotel. Twarz jego była jak tchnienie twarzy – smuga, którą nieznany przechodzień zostawił w powietrzu. Trzymał w bladych, emaliowanych błękitnie dłoniach portfel, w którym coś oglądał.

Z mgły twarzy wyłoniło się z trudem wypukłe bielmo bladego oka, wabiąc mnie figlarnym mruganiem. Czułem doń nieprzepartą sympatię. Wziął mnie między kolana i tasując przed moimi oczami wprawnymi dłońmi fotografie, pokazywał wizerunki nagich kobiet i chłopców w dziwnych pozycjach. Stałem oparty o niego bokiem i patrzyłem na te delikatne ciała ludzkie dalekimi niewidzącymi oczyma, gdy fluid niejasnego wzburzenia, którym nagle zmętniało powietrze, doszedł do mnie i zbiegł mię dreszczem niepokoju, falą nagłego zrozumienia. Ale tymczasem ta mgiełka uśmiechu, która się zarysowała pod miękким i pięknym jego wąsem, zawiązek pożądania, który napiął się na jego skroniach pulsującą żyłą, natężenie, trzymające przed chwilą jego rysy w skupieniu – upadły z powrotem w nicość i twarz odeszła w nieobecność, zapomniała o sobie, rozwiała się.

---

<sup>34</sup> *kozетка* – wąski mebel bez oparcia przeznaczony do leżenia. [przypis edytorski]

## Nawiedzenie

### 1

Już wówczas miasto nasze popadało coraz bardziej w chroniczną szarość zmierzchu, porastało na krawędziach liszajem<sup>35</sup> cienia, puszystą pleśnią i mchem koloru żelaza.

Ledwo rozpowity z brunatnych dymów i mgieł poranka – przechylał się dzień od razu w niskie bursztynowe popołudnie, stawał się przez chwilę przezroczysty i złoty jak ciemne piwo, ażeby potem zejść pod wielokrotnie rozczłonkowane, fantastyczne sklepienie kolorowych i rozległych nocy.

Mieszkaliśmy w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i ślepych fasadach<sup>36</sup>, które tak trudno od siebie odróżnić.

Daje to powód do ciągłych omyłek. Gdyż wszedłszy raz w niewłaściwą sień i na niewłaściwe schody, dostawało się zazwyczaj w labirynt obcych mieszkań, ganków, niespodzianych wyjść na obce podwórza i zapominało się o początkowym celu wyprawy, ażeby po wielu dniach, wracając z manowców dziwnych i splątanych przygód, o jakimś szarym świetle przypomnieć sobie wśród wyrzutów sumienia dom rodzinny.

Pełne wielkich szaf, głębokich kanap, białych luster i tandetnych palm sztucznych, mieszkanie nasze coraz bardziej popadało w stan zaniedbania wskutek opieszałości matki, przesiadującej w sklepie, i niedbalstwa smukłonogiej Adeli, która, nie nadzorowana przez nikogo, spędzała dnie przed lustrami na rozwlekłej toalecie, zostawiając wszędzie jej ślady w postaci wyczesanych włosów, grzebieni, porzuconych pantofelków i gorsetów.

Mieszkanie to nie posiadało określonej liczby pokoi, gdyż nigdy nie pamiętano, ile z nich wynajęte było obcym lokatorom. Nieraz otwierano przypadkiem którąś z tych izb zapomnianych i znajdowano ją pustą; lokator dawno się wyprowadził, a w nie tkniętych od miesięcy szufladach dokonywano niespodzianych odkryć.

W dolnych pokojach mieszkali subiekci<sup>37</sup> i nieraz w nocy budziły nas ich jęki, wydawane pod wpływem zmory sennej. W zimie była jeszcze na dworze głucha noc, gdy ojciec schodził do tych zimnych i ciemnych pokoi, płosząc przed sobą świecą stada cieni, ulatujących bokami po podłodze i ścianach; szedł budzić ciężko chrapiących z twardego jak kamień snu.

W świetle pozostawionej przezeń świecy wywijali się leniwie z brudnej pościeli, wystawiali, siadając na łózkach, bose i brzydkie nogi i ze skarpetką w ręce oddawali się jeszcze przez chwilę rozkoszy ziewania – ziewania przeciągniętego aż do lubieżności<sup>38</sup>, do bolesnego skurczu podniebienia, jak przy tęgich<sup>39</sup> wymiotach.

W kątach siedziały nieruchomo wielkie karakony<sup>40</sup>, wyogromnione własnym cieniem, którym obarczała każdego płonąca świeca i który nie odłączał się od nich i wówczas, gdy któryś z tych płaskich, bezgłowych kadłubów<sup>41</sup> z nagła zaczynał biec niesamowitym, pajęczym biegiem.

W tym czasie ojciec mój zaczął zapadać na zdrowiu. Bywało już w pierwszych tygodniach tej wczesnej zimy, że spędzał dnie całe w łóżku, otoczony flaszkami, pigułkami i księgami handlowymi,

---

<sup>35</sup> *liszaj* – schorzenie skóry a. ubytki i plamy na płaskiej powierzchni, np. na tynku. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *fasada* – frontowa ściana budynku. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *subiekt* (daw.) – sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *lubieżność* – rozpusta. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *tęgi* – tu: obfity. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *karakon* – karaluch. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *kadłub* (daw.) – tułów. [przypis edytorski]

które mu przynoszono z kontuaru<sup>42</sup>. Gorzki zapach choroby osiadał na dnie pokoju, którego tapety gęstwiały ciemniejszym splotem arabesk<sup>43</sup>.

Wieczorami, gdy matka przychodziła ze sklepu, bywał podniecony i skłonny do sprzeczek, zarzucał jej niedokładności w prowadzeniu rachunków, dostawał wypieków i zapalał się do niepoczytalności. Pamiętam, iż raz, obudziwszy się ze snu późno w nocy, ujrzałem go, jak w koszuli i boso biegał tam i z powrotem po skórzanej kanapie, dokumentując w ten sposób swą irytację przed bezradną matką.

W inne dni bywał spokojny i skupiony i pograżał się zupełnie w swych księgach, zabłąkany głęboko w labiryntach zawiłych obliczeń.

Widzę go w świetle kopcającej lampy, przykucniętego wśród poduszek, pod wielkim rzeźbionym nadgłowieм łóżka, z ogromnym cieniem od głowy na ścianie, kiwającego się w bezgłośniejszej medytacji.

Chwilami wynurzał głowę z tych rachunków, jakby dla zaczerpnięcia tchu, otwierał usta, mlaskał z niesmakiem językiem, który był suchy i gorzki, i rozglądał się bezradnie, jakby czegoś szukając.

Wówczas bywało, że zbiegał po cichu z łóżka w kąt pokoju, pod ścianę, na której wisiał zaufany instrument. Był to rodzaj klepsydry wodnej albo wielkiej fioli<sup>44</sup> szklanej, podzielonej na uncje<sup>45</sup> i napełnionej ciemnym fluidem<sup>46</sup>. Mój ojciec łączył się z tym instrumentem długą kiszka<sup>47</sup> gumową, jakby krętą, bolesną pępownią, i tak połączony z żalosnym przyrządem – nieruchomią w skupieniu, a oczy jego ciemniały, zaś na twarz przybladłą występował wyraz skupienia czy jakiejś występnej rozkoszy.

Potem znów przychodziły dni cichej skupionej pracy, przeplatanej samotnymi monologami. Gdy tak siedział w świetle lampy stołowej, wśród poduszek wielkiego łoża, a pokój ogromniał w górze w cieniu umbr<sup>48</sup>, który go łączył z wielkim żywiołem nocy miejskiej za oknem – czuł, nie patrząc, że przestrzeń obrasta go pulsującą gęstwiną tapet, pełną szeptów, syków i seplenień. Słyszał, nie patrząc, tę znowę pełną porozumiewawczych mrugnięć, perskich oczu, rozwijających się wśród kwiatów małżowin usznych, które słuchały, i ciemnych ust, które się uśmiechały.

Wówczas pograżał się pozornie jeszcze bardziej w pracę, liczył i sumował, bojąc się zdradzić ten gniew, który w nim wzbierał, i walcząc z pokusą, żeby z nagłym krzykiem nie rzucić się na oślep za siebie i nie pochwycić pełnych garści tych kędzierzawych arabesk, tych pęków oczu i uszu, które noc wyroiła ze siebie i które rosły i zwielokrotniały się, wymajaczając coraz nowe pędy i odnogi z macierzystego pępka ciemności. I uspokajał się dopiero, gdy z odpływem nocy tapety wędły, zwijały się, gubiły liście i kwiaty i przeredzały się jesienią, przepuszczając dalekie świtanie.

Wtedy wśród świergotu tapetowych ptaków, w żółtym zimowym świetle, zasypiał na parę godzin gęstym, czarnym snem.

Od dni, od tygodni, gdy zdawał się być pograżonym w zawiłych konto-korrentach – myśl jego zapuszczała się tajnie w labirynty własnych wnętrzości. Wstrzymywał oddech i nasłuchiwał. I gdy wzrok jego wracał zbiałały i mętny z tamtych głębin, uspokajał go uśmiechem. Nie wierzył jeszcze i odrzucał jak absurd te uroszczenia, te propozycje, które nań napierały.

Za dnia były to jakby rozumowania i perswazje, długie, monotonne rozważania, prowadzone półgłosem i pełne humorystycznych interludów<sup>49</sup>, filuternych<sup>50</sup> przekomarzań. Ale nocą podnosiły

<sup>42</sup> *kontuar* – lada sklepowa. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *arabeska* – symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *fiola* – wąskie, wysokie szklane naczynie. [przypis edytorski]

<sup>45</sup> *uncja* – ang. jednostka objętości, ok. 28–29 cm<sup>3</sup>. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *fluid* – wg spirytystów substancja emanująca z ludzi i duchów. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *kiszka* – tu: długa rura o niewielkiej średnicy. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *umbra* – barwnik brunatnoczerwony. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *interludium* – instrumentalna wstawka muzyczna rozdzielająca poszczególne partie utworu. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *filuterny* (daw.) – figlarny, prowokujący. [przypis edytorski]

się te głosy namiętniej. Żądanie wracało coraz wyraźniej i donioślej i słyszeliśmy, jak rozmawiał z Bogiem, prosząc się jak gdyby i wzbraniając przed czymś, co natarczywie żądało i domagało się.

Aż pewnej nocy podniósł się ten głos groźnie i nieodparcie, żądając, aby mu dał świadectwo usty<sup>51</sup> i wnętrznościami swymi. I usłyszeliśmy, jak duch weń wstąpił, jak podnosił się z łóżka, długi i rosnący gniewem proroczym, dławiąc się hałaśliwymi słowy, które wyrzucał jak mitralieza<sup>52</sup>. Słyszeliśmy łomot walki i jęk ojca, jęk tyrana ze złamanym biodrem, który jeszcze urąga.

Nie widziałem nigdy proroków Starego Testamentu, ale na widok tego męża, którego gniew boży obalił, rozkraczono go szeroko na ogromnym porcelanowym urnale<sup>53</sup>, zakrytego wichrem ramion, chmurą rozpaczliwych łamańców, nad którymi wyżej jeszcze unosił się jego głos, obcy i twardy – zrozumiałem gniew boży świętych mężów.

Był to dialog groźny jak mowa piorunów. Łamańce rąk jego rozrywały niebo na sztuki, a w szczelinach ukazywała się twarz Jehowy, wzdęta gniewem i plująca przekleństwami. Nie patrząc, widziałem go, groźnego Demiurga<sup>54</sup>, jak leżąc na ciemnościach jak na Synaju, wsparłszy potężne dłonie na karniszu firanek, przykładał ogromną twarz do górnych szyb okna, na których płaszczył się potwornie mięsisty nos jego.

Słyszałem jego głos w przerwach proroczej tyrady mego ojca, słyszałem te potężne warknięcia wzdętych warg, od których szyby brzęczały, mieszające się z wybuchami zaklęć, lamentów, gróźb mego ojca.

Czasami głosy przycichały i zżymały się z cicha jak gaworzenie wiatru w nocnym kominie, to znowu wybuchały wielkim zgiełkliwym hałasem, burzą zmieszanych szlochów i przekleństw. Z nagle otworzyło się okno ciemnym ziewnięciem i płachta ciemności wionęła przez pokój.

W świetle błyskawicy ujrzałem ojca mego w rozwianej bieliźnie, jak ze straszliwym przekleństwem wylewał potężnym chlustem w okno zawartość nocnika w noc, szumiącą jak muszla.

---

<sup>51</sup> *usty* – dziś popr. forma D. lm.: ustami. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *mitralieza* (daw.) – wielolufowe działko szybkostrzelne. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *urnal* (daw.) – nocnik. [przypis edytorski]

<sup>54</sup> *demiurg* – w niektórych systemach religijnych twórca świata, który nie jest jednak tożsamy z najwyższym bogiem. Ponieważ demiurg nie jest ani wszechwiedzący, ani wszechmocny, a dokonany przez niego akt kreacji był aktem samowolnym, stworzony przez niego świat jest niedoskonały i pełen zła. [przypis edytorski]

## 2

Mój ojciec powoli zanikał, wiądnął w oczach.

Przykucnięty pod wielkimi poduszkami, dziko nastroszony kępami siwych włosów, rozmawiał z sobą półgłosem, pogrążony cały w jakieś zawile wewnętrzne afery. Zdawać się mogło, że osobowość jego rozpadła się na wiele pokłóconych i rozbieżnych jaźni, gdyż kłócił się z sobą głośno, pertraktował usilnie i namiętnie, przekonywał i prosił, to znowu zdawał się przewodniczyć zgromadzeniu wielu interesantów, których usiłował z całym nakładem żarliwości i swady<sup>55</sup> pogodzić. Ale za każdym razem te hałaśliwe zebrania, pełne gorących temperamentów, rozpryskiwały się przy końcu wśród klątw, złorzeczeń i obelg.

Potem przyszedł okres jakiegoś uciszenia, ukojenia wewnętrznego, błogiej pogody ducha.

Znowu wielkie folianty<sup>56</sup> rozłożone były na łóżku, na stole, na podłodze i jakiś benedyktyński spokój pracy zalegał w świetle lampy nad białą pościelą łóżka, nad pochyloną siwą głową mego ojca.

Ale gdy matka późnym wieczorem wracała ze sklepu, ojciec ożywał się, przywoływał ją do siebie i z dumą pokazywał jej świetne, kolorowe odbijanki<sup>57</sup>, którymi skrzętnie wylepił stronicę księgi głównej.

Zauważyliśmy wówczas wszyscy, że ojciec zaczął z dnia na dzień maleć jak orzech, który zsycha się wewnątrz łupiny.

Zanikowi temu nie towarzyszył bynajmniej upadek sił. Przeciwnie, stan jego zdrowia, humor, ruchliwość zdawały się poprawiać.

Często śmiał się teraz głośno i szczebiotliwie, zanosił się wprost ze śmiechu, albo też pukał w łóżko i odpowiadał sobie „proszę” w różnych tonacjach, całymi godzinami. Od czasu do czasu zlaził z łóżka, wspinał się na szafę i przykucnięty pod sufitem porządkował coś w starych gratach, pełnych rdzy i kurzu.

Niekiedy ustawiał sobie dwa krzesła naprzeciw siebie i wspierając się rękami o poręcz, bujał się nogami wstecz i naprzód, szukając rozpromienionymi oczyma w naszych twarzach wyrazów podziwu i zachęty. Z Bogiem, zdaje się, pogodził się zupełnie. Niekiedy w nocy ukazywała się twarz brodatego Demiurga w oknie sypialni, oblana ciemną purpurą bengalskiego światła<sup>58</sup>, i patrzyła przez chwilę dobrotliwie na uspiętego głęboko, którego śpiewne chrapanie zdawało się wędrować daleko po nieznanym obszarach światów sennych.

Podczas długich, półciemnych popołudni tej późnej zimy ojciec mój zapadał od czasu do czasu na całe godziny w gęsto zastawione gratami zakamarki, szukając czegoś zawzięcie.

I nieraz bywało podczas obiadu, gdy zasiadaliśmy wszyscy do stołu, brakło ojca. Wówczas matka musiała długo wołać „Jakubie!” i stukać łyżką w stół, zanim wylazł z jakiejś szafy, oblepiony szmatami pajęczyn i kurzu, z wzrokiem nieprzytomnym i pogrążonym w zawitych, a jemu tylko wiadomych sprawach, które go zaprzętały.

Czasem wdrapywał się na karnisz i przybierał nieruchomą pozę symetrycznie do wielkiego wypchanego sępa, który po drugiej stronie okna zawieszony był na ścianie. W tej nieruchomej, przykucniętej pozie, z wzrokiem zamglonym i z miną chytrze uśmiechniętą trwał godzinami, ażeby z nagłą przy czymś wejściu zatrzepotać rękoma jak skrzydłami i zapać jak kogut.

Przestaliśmy zwracać uwagę na te dziwactwa, w które się z dnia na dzień głębiej wplątywał. Wyzbyty jakby zupełnie cielesnych potrzeb, nie przyjmując tygodniami pokarmu, pogrążał się z dniem każdym głębiej w zawile i dziwaczne afery, dla których nie mieliśmy zrozumienia.

---

<sup>55</sup> *swada* – płynność w mówieniu. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> *foliant* a. *foliat* – gruba książka dużego formatu. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *odbijanka* a. *kalkomania* – obrazek przenoszony na kartkę ze specjalnie przygotowanego papieru. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *bengalskie światła* a. *ognie bengalskie* – rodzaj fajerwerków. [przypis edytorski]

Niedosięły dla naszych perswazji i próśb, odpowiadał urywkami swego wewnętrznego monologu, którego przebiegu nic z zewnątrz zmącić nie mogło. Wiecznie zaaferowany, chorobliwie ożywiony, z wypiekami na suchych policzkach, nie zauważał nas i przeoczał.

Przywykliśmy do jego nieszkodliwej obecności, do jego cichego gaworzenia, do tego dziecinnego, w sobie zatopionego świetotu, którego trele przebiegały niejako na marginesie naszego czasu. Wtedy już zniknął niekiedy na wiele dni, podziewał się gdzieś w zapadłych zakamarkach mieszkania i nie można go było znaleźć.

Stopniowo te zniknięcia przestały sprawiać na nas wrażenie, przywykliśmy do nich i kiedy po wielu dniach znów się pojawiał, o parę cali mniejszy i chudszy, nie zatrzymywało to na dłużej naszej uwagi. Przestaliśmy po prostu brać go w rachubę, tak bardzo oddalił się od wszystkiego, co ludzkie i co rzeczywiste. Węzeł po węźle odluźniał się od nas, punkt po punkcie gubił związki łączące go ze wspólnotą ludzką. To, co jeszcze z niego pozostało, to trochę cielesnej powłoki i ta garść bezsensownych dziwactw – mogły zniknąć pewnego dnia, tak samo nie zauważone, jak szara kupka śmieci, gromadząca się w kącie, którą Adela co dzień wynosiła na śmietnik.

## Ptaki

Nadeszły żółte, pełne nudy dni zimowe. Zrudziałą ziemię okrywał dziurawy, przetarty, za krótki obrus śniegu. Na wiele dachów nie starczyło go i stały czarne lub rdzawe, gontowe strzechy<sup>59</sup> i arki<sup>60</sup>, kryjące w sobie zakopcone przestrzenie strychów – czarne, zwęglone katedry, najeżone żebrami krokwi<sup>61</sup>, płatwi<sup>62</sup> i bantów<sup>63</sup> – ciemne płuca wieczorów zimowych. Każdy świt odkrywał nowe kominy i dymniki wyrosłe w nocy, wydęte przez wichur nocny, czarne piszczalki organów diabelskich. Kominiarze nie mogli opędzić się od wron, które na kształt żywych czarnych liści obsiadały wieczorem gałęzie drzew pod kościołem, odrywały się znów, trzepocąc, by wreszcie przylgnąć, każda do właściwego miejsca na właściwej gałęzi, a o świcie ulatywać wielkimi stadami – tumany sadzy, płatki kopciur, falujące i fantastyczne, plamiąc migotliwym krakranie mętnożółte smugi świtu. Dni stwardniały od zimna i nudy, jak zeszlóroczne bochenki chleba. Napoczynano je tępych nożami, bez apetytu, z leniwą sennością.

Ojciec nie wychodził już z domu. Palił w piecach, studiował nigdy nie zgłębioną istotę ognia, wyczuwał słony, metaliczny posmak i wędzony zapach zimowych płomieni, chłodną pieszczotę salamander, liżących błyszczącą sadzę gardzieli komina. Z zamięłowaniem wykonywał w owych dniach wszystkie reparatury w górnych regionach pokoju. O każdej porze dnia można go było widzieć, jak – przykucnięty na szczycie drabiny – majstrował coś przy suficie, przy karniszach wysokich okien, przy kulach i łańcuchach lamp wiszących. Zwyczajem malarzy posługiwał się drabiną jak ogromnymi szczudłami i czuł się dobrze w tej ptasiej perspektywie, w pobliżu malowanego nieba, arabesk<sup>64</sup> i ptaków sufitu. Od spraw praktycznego życia oddalał się coraz bardziej. Gdy matka, pełna troski i zmartwienia z powodu tego stanu, starała się go wciągnąć w rozmowę o interesach, płatnościach najbliższego *ultimo*<sup>65</sup>, słuchał jej z roztargnieniem, pełen niepokoju, z drgawkami na nieobecnej twarzy. I bywało, że przerywał jej nagle zaklinającym gestem ręki, ażeby pobiec w kąt pokoju, przylgnąć uchem do szpary w podłodze i z podniesionymi palcami wskazującymi obu rąk, wyrażającymi najwyższą wagę badania – nasłuchiwać. Nie rozumieliśmy wówczas jeszcze smutnego tła tych ekstrawagancji, opłakanego kompleksu, który dojrzewał głębi.

Matka nie miała nań żadnego wpływu, natomiast wielką czcią i uwagą darzył Adelę. Sprzątanie pokoju było dlań wielką i ważną ceremonią, której nie zaniedbywał nigdy być świadkiem, śledząc z mieszaniną strachu i rozkosznego dreszczu wszystkie manipulacje Adeli. Wszystkim jej czynnościom przypisywał głębsze, symboliczne znaczenie. Gdy dziewczyna młodymi i śmiałymi ruchami posuwała szczotkę na długim drążku po podłodze, było to niemal ponad jego siły. Z oczu jego lały się wówczas łzy, twarz zanosiła się od cichego śmiechu, a ciałem wstrząsał rozkoszny spazm orgazmu. Jego wrażliwość na łaskotki dochodziła do szaleństwa. Wystarczyło, by Adela skierowała doń palec ruchem oznaczającym łaskotanie, a już w dzikim popłochu uciekał przez wszystkie pokoje, zatrząskując za sobą drzwi, by wreszcie w ostatnim paść brzuchem na łóżko i wić się w konwulsjach śmiechu pod wpływem samego obrazu wewnętrznego, któremu nie mógł się oprzeć. Dzięki temu miała Adela nad ojcem władzę niemal nieograniczoną.

W tym to czasie zauważyliśmy u ojca po raz pierwszy namiętne zainteresowanie dla zwierząt. Była to początkowo namiętność myśliwego i artysty zarazem, była może także głębsza,

---

<sup>59</sup> *gontowa strzecha* – dach pokryty nachodzącymi na siebie deseczkami. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *ark* – tu: łuk. [przypis edytorski]

<sup>61</sup> *krokiew* – pochyła belka podtrzymująca dach. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> *plataw* – poprzeczna belka podtrzymująca krokwie. [przypis edytorski]

<sup>63</sup> *bant* – wspornik. [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *arabeska* – symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *ultimo* – ostatni dzień miesiąca, termin regulowania rachunków i innych należności. [przypis edytorski]

zoologiczna sympatia kreatury dla pokrewnych, tak odmiennych form życia, eksperymentowanie w nie wypróbowanych rejestrach bytu. Dopiero w późniejszej fazie wzięła sprawa ten niesamowity, zaplątany, głęboko grzeszny i przeciwny naturze obrót, którego lepiej nie wywlekać na światło dzienne.

Zaczęło się to od wylęgania jaj ptasich.

Z wielkim nakładem trudu i pieniędzy sprowadzał ojciec z Hamburga, z Holandii, z afrykańskich stacji zoologicznych zapłodnione jaja ptasie, które dawał do wylęgania ogromnym kurom belgijskim. Był to proceder nader zajmujący i dla mnie – to wykluwanie się piskląt, prawdziwych dziwotworków w kształcie i ubarwieniu. Niepodobna było dopatrzeć się w tych monstrach o ogromnych, fantastycznych dziobach, które natychmiast po urodzeniu rozdzierały się szeroko, rycząc żarłocznie czeluściami gardła, w tych jaszczurach o wątlym, nagim ciele garbusów – przyszłych pawii, bażantów, głuszców i kondorów<sup>66</sup>. Umieszczony w koszykach, wacie, smoczy ten pomiot podnosił na cienkich szyjach ślepe, bielmem zarosłe głowy, kwacząc bezgłośnie z niemych gardzieli. Mój ojciec chodził wzdłuż półek w zielonym fartuchu, jak ogrodnik wzdłuż inspektów z kaktusami, i wywabiał z nicości te pęcherze ślepe, pulsujące życiem, te niedołączone brzuchy, przyjmujące świat zewnętrzny tylko w formie jedzenia, te narośle życia, pnące się omackiem ku światłu. W parę tygodni później, gdy te ślepe pączki życia pękły do światła, napełniły się pokoje kolorowym pogwarem, migotliwym świergotem swych nowych mieszkańców. Obsiadały one karnisze firanek, gzymsy szaf, gnieździły się w gęstwinie cynowych gałęzi i arabesek wieloramiennych lamp wiszących.

Gdy ojciec studiował wielkie ornitologiczne kompendia i wertował kolorowe tablice, zdawały się ulatywać z nich te pierzaste fantazmaty i napełniać pokój kolorowym trzepotem, płatkami purpury, strzępami szafiru, grynszpanu<sup>67</sup> i srebra. Podczas karmienia tworzyły one na podłodze barwną, falującą grządkę, dywan żywy, który za czymś niebaczny wejściem rozpadał się, rozlatywał w ruchome kwiaty, trzepocące w powietrzu, aby w końcu rozmieścić się w górnych regionach pokoju. W pamięci pozostał mi szczególnie jeden kondor, ogromny ptak o szyi nagiej, twarzy pomarszczonej i wybujałej naroślami. Był to chudy asceta, lama<sup>68</sup> buddyjski, pełen niewzruszonej godności w całym zachowaniu, kierujący się żelaznym ceremoniałem swego wielkiego rodu. Gdy siedział naprzeciw ojca, nieruchomy w swej monumentalnej pozycji odwiecznych bóstw egipskich, z okiem zawleczonym białawym bielmem, które zasuwiał z boku na źrenice, ażeby zamknąć się zupełnie w kontemplacji swej dostojnej samotności – wydawał się ze swym kamiennym profilem starszym bratem mego ojca. Ta sama materia ciała, ścięgien i pomarszczonej twardej skóry, ta sama twarz wyschła i koścista, te same zrogowaciałe, głębokie oczodoły. Nawet ręce, silne w węzłach, długie, chude dłonie ojca, z wypukłymi paznokciami, miały swój analogon<sup>69</sup> w szponach kondora. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, widząc go tak uszpiętego, że mam przed sobą mumię – wyschłą i dlatego pomniejszoną mumię mego ojca. Sądzę, że i uwagi matki nie uszło to dziwne podobieństwo, chociaż nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Charakterystyczne jest, że kondor używał wspólnego z moim ojcem naczynia nocnego.

Nie przestając na wylęganiu coraz nowych egzemplarzy, ojciec mój urządzał na strychu wesela ptasie, wysyłał swatów, uwiązywał w lukach i dziurach strychu ponętne, stęsknione narzeczone i osiągnął w samej rzeczy to, że dach naszego domu, ogromny, dwuspadowy dach gontowy, stał się prawdziwą gospodą ptasią, arką Noego, do której zlatywały się wszelkiego rodzaju skrzydlacze z dalekich stron, nawet długo po zlikwidowaniu ptasiego gospodarstwa utrzymywała się w świecie

---

<sup>66</sup> kondor – duży ptak występujący w Ameryce Południowej, drapieżnik i padlinożerca. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> grynszpan – jasnozielony nalot na miedzianej powierzchni. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> lama – tybetański lub mongolski mnich buddyjski. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> analogon – odpowiednik. [przypis edytorski]

ptasim ta tradycja naszego domu i w okresie wiosennych wędrówek spadały nieraz na nasz dach całe chmary żurawi, pelikanów, pawi i wszelkiego ptactwa.

Impreza ta wzięła jednak niebawem – po krótkiej świetności – smutny obrót. Wkrótce okazała się bowiem konieczna translokacja ojca do dwóch pokoiów na poddaszu, które służyły za rupiecarnie. Stamtąd dochodził już o wczesnym świcie zmieszany klangor<sup>70</sup> głosów ptasich. Drewniane pudła pokoiów na strychu, wspomagane rezonansem przestrzeni dachowej, dźwięczały całe od szumu, trzepotu, piania, tokowania i gulgotu. Tak straciliśmy ojca z widoku na przeciąg kilku tygodni. Rzadko tylko schodził do mieszkania i wtedy mogliśmy zauważyć, że zmniejszył się jakoby, schudł i skurczył. Niekiedy przez zapomnienie zrywał się z krzesła przy stole i trzepiąc rękoma jak skrzydłami, wydawał pianie przeciągłe, a oczy zachodziły mu mgłą bielma. Potem, zawstydzony, śmiał się razem z nami i starał się ten incydent obrócić w żart.

Pewnego razu w okresie generalnych porządków zjawiała się niespodzianie Adela w państwie ptasim ojca. Stanąwszy we drzwiach, załamała ręce nad fetorem, który się unosił w powietrzu, oraz nad kupami kału, zalegającego podłogi, stoły i meble. Szybko zdecydowana, otworzyła okno, po czym przy pomocy długiej szczotki wprawiła całą masę ptasią w wirowanie. Wzbił się piekielny tuman piór, skrzydeł i krzyku, w którym Adela, podobna do szalejącej Menady<sup>71</sup>, zakrytej młyńcem swego tyrsu, tańczyła taniec zniszczenia. Razem z ptasią gromadą ojciec mój, trzepiąc rękoma, w przerażeniu próbował wznieść się w powietrze. Z wolna przeredzał się tuman skrzydlaty, aż w końcu na pobojuwisku została sama Adela, wyczerpana, dysząca, oraz mój ojciec z miną zafrasowaną i zawstydzoną, gotów do przyjęcia każdej kapitulacji.

W chwilę później schodził mój ojciec ze schodów swojego dominium<sup>72</sup> – człowiek złamany, król-banita, który stracił tron i królowanie.

---

<sup>70</sup> *klangor* – odgłos lecących ptaków. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> *menady* a. *bachantki* (mit. grec.) – towarzyszkę Dionizosa (Bachus), boga wina, szalone kobiety tworzące jego orszak. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *dominium* – teren podlegający czyjejś władzy. [przypis edytorski]

## Manekiny

Ta ptasia impreza mego ojca była ostatnim wybuchem kolorowości, ostatnim i świetnym kontrmarszem fantazji, który ten niepoprawny improwizator, ten fechtmistrz<sup>73</sup> wyobraźni poprowadził na szańce<sup>74</sup> i okopy jałowej i pustej zimy. Dziś dopiero rozumiem samotne bohaterstwo, z jakim sam jeden wydał on wojnę bezbrzeżnemu żywiołowi nudy, drętwiącej miasto. Pozbawiony wszelkiego poparcia, bez uznania z naszej strony, bronił ten mąż przedziwny straconej sprawy poezji. Był on cudownym młynem, w którego leje sypały się otręby<sup>75</sup> pustych godzin, ażeby w jego trybach zakwitnąć wszystkimi kolorami i zapachami korzeni Wschodu. Ale przywykli do świetnego kuglarstwa<sup>76</sup> tego metafizycznego prestidigitatora<sup>77</sup>, byliśmy skłonni zapoznawać wartość jego suwerennej<sup>78</sup> magii, która nas ratowała z letargu pustych dni i nocy. Adeli nie spotkał żaden wyrzut za jej bezmyślny i tępy wandalizm. Przeciwnie, czuliśmy jakieś niskie zadowolenie, haniebną satysfakcję z ukrócenia tych wybujałości, których kosztowaliśmy łakomie do syta, ażeby potem uchylić się perfidnie od odpowiedzialności za nie. A może był w tej zdradzie i tajny pokłon w stronę zwycięskiej Adeli, której przypisywaliśmy niejasno jakąś misję i posłannictwo sił wyższego rzędu. Zdradzony przez wszystkich, wycofał się ojciec bez walki z miejsc swej niedawnej chwały. Bez skrzyżowania szpad oddał w ręce wroga domenę swej byłej świetności. Dobrowolny banita<sup>79</sup>, usunął się do pustego pokoju na końcu sieni i oszańcował się tam samotnością.

Zapomnieliśmy o nim.

Obległa nas znowu ze wszech stron żałobna szarość miasta, zakwitając w oknach ciemnym liszajem<sup>80</sup> świtów, pasożytniczym grzybem zmierzchów, rozrastającym się w puszyste futro długich nocy zimowych. Tapety pokojów, rozluźnione błogo za tamtych dni i otwarte dla kolorowych lotów owej skrzydlatej czeredy<sup>81</sup>, zamknęły się znów w sobie, zgęstniały, płacząc się w monotonii gorzkich monologów.

Lampy poczerniały i zwiędły jak stare osty i bodiaki<sup>82</sup>. Wisiały teraz osowiałe i zgryźliwe, dzwoniąc cicho kryształkami szkiełek, gdy ktoś przeprowadzał się omackiem przez szary zmierzch pokoju. Na próżno wetknęła Adela we wszystkie ramiona tych lamp kolorowe świece, nieudolny surogat<sup>83</sup>, blade wspomnienie świetnych iluminacji<sup>84</sup>, którymi kwitły niedawno wiszące ich ogrody. Ach! gdzie było to świegotliwe pączkowanie, to owocowanie pośpieszne i fantastyczne w bukietach tych lamp, w których, jak z pękających czarodziejskich tortów, ulatywały skrzydlate fantazmaty, rozbijające powietrze na talie kart magicznych, rozsypując je w kolorowe oklaski, sypiące się gęstymi łuskami lazuru, pawiej, papuziej zieleni, metalicznych połysków, rysując w powietrzu linie i arabeski<sup>85</sup>, migotliwe ślady lotów i kołowań, rozwijając kolorowe wachlarze trzepotów, utrzymujące się długo po przelocie w bogatej i błyskotliwej atmosferze. Jeszcze teraz kryły się w głębi zszarzałej

---

<sup>73</sup> *fechtmistrz* – szermierz a. nauczyciel szermierki. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *szaniec* – wał, okop, umocnienie ziemne. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> *otręby* – łuski pozostałe po zmieleniu ziarna, przen.: coś zbędnego. [przypis edytorski]

<sup>76</sup> *kuglarstwo* – sztuczka magiczna. [przypis edytorski]

<sup>77</sup> *prestidigitator* (daw.) – iluzjonista. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> *suwerenny* – niepodległy. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> *banita* – wygnaniec. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> *liszaj* – schorzenie skóry, przen. plama a. ubytek na płaskiej powierzchni w rodzaju tynku. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> *czereda* – gromada. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *bodiak* (reg.) – gatunek ostu. [przypis edytorski]

<sup>83</sup> *surogat* – namiastka. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *iluminacja* – efektowne, odświeżające oświetlenie. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *arabeska* – symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

aury echa i możliwości barwnych rozbłysków, lecz nikt nie nawiercał fioletem, nie doświadczał świdrem zmeńniających słoików powietrznych.

Tygodnie te stały pod znakiem dziwnej senności.

Łóżka cały dzień nie zaścienione, zawalone pościelą zmiętą i wytarzaną od ciężkich snów, stały jak głębokie łodzie gotowe do odpływu w mokre i zawile labirynty jakiejś czarnej, bezgwiazdnej Wenecji. O głuchym świecie Adela przynosiła nam kawę. Ubieraliśmy się leniwie w zimnych pokojach, przy świetle świecy, odbitej wielokrotnie w czarnych szybach okien. Poranki te były pełne bezładnego krzątania się, rozwlekłego szukania w różnych szufladach i szafach. Po całym mieszkaniu słychać było kłapanie pantofelek Adeli. Subiekci<sup>86</sup> zapalali latarnie, brali z rąk matki wielkie klucze sklepowe i wychodzili w gęstą, wirującą ciemność. Matka nie mogła dojść do ładu z toaletą. Świece dogasały w lichtarzu. Adela przepadała gdzieś w odległych pokojach lub na strychu, gdzie rozwieszała bieliznę. Nie można jej było się dowołać. Młody jeszcze, mętny i brudny ogień w piecu lizał zimne, błyszczące narośle sadzy w gardzieli komina. Świeca gasła, pokój pogrążał się w ciemności. Z głowami na obrusie stołu, wśród resztek śniadania zasypialiśmy na wpół ubrani. Leżąc twarzami na futrzanym brzuchu ciemności, odpływaliśmy na jego falistym oddechu w bezgwiazdną nicość. Budziło nas głośne sprzątanie Adeli. Matka nie mogła uporać się z toaletą. Nim skończyła czesanie, subiekci wracali na obiad. Mrok na rynku przybierał kolor złotawego dymu. Przez chwilę z tych dymnych miodów, z tych mętnych bursztynów mogły się rozpowić kolory najpiękniejszego popołudnia. Ale szczęśliwy moment mijał, amalgamat<sup>87</sup> świtu przekwitł, wezbrany ferment dnia, już niemal doścignął, opadał z powrotem w bezsilną szarość. Zasiadaliśmy do stołu, subiekci zacierali czerwone z zimna ręce i nagle proza ich rozmów sprowadzała od razu pełny dzień, szary i pusty wtorek, dzień bez tradycji i bez twarzy. Ale gdy pojawiał się na stole półmisek z rybą w szklistej galarecie, dwie duże ryby leżące bok przy boku, głową do ogona jak figura zodiakalna, odpoznowaliśmy w nich herb owego dnia, emblemat<sup>88</sup> kalendarzowy bezimiennego wtorku, i rozbieraliśmy go pośpiesznie między siebie, pełni ulgi, że dzień odzyskał w nim swą fizjonomię<sup>89</sup>.

Subiekci spożywali go z namaszczeniem, z powagą kalendarzowej ceremonii. Zapach pieprzu rozchodził się po pokoju. A gdy wytarli bułką ostatek galarety ze swych talerzy, rozważając w myśli heraldykę następnych dni, i na półmisku zostawały tylko głowy z wygotowanymi oczyma – czuliśmy wszyscy, że dzień został wspólnymi siłami pokonany i że reszta nie wchodziła już w rachubę.

W samej rzeczy z resztą tą, wydaną na jej łaskę, Adela nie robiła sobie długich ceregieli. Wśród brzęku garnków i chlustów zimnej wody likwidowała z energią tych parę godzin do zmierzchu, które matka przesyiała na otomanie. Tymczasem w jadalni przygotowywano już scenę wieczoru. Polda i Paulina, dziewczęta do szycia, rozgospodarowywały się w niej z rekwizytami swego fachu. Na ich ramionach wniesiona, wchodziła do pokoju milcząca, nieruchoma pani, dama z kłaków i płótna, z czarną drewnianą gałką zamiast głowy. Ale ustawiona w kącie, między drzwiami a piecem, ta cicha dama stawała się panią sytuacji. Ze swego kąta, stojąc nieruchomo, nadzorowała w milczeniu pracę dziewcząt. Pełna krytycyzmu i niełaski, przyjmowała ich starania i umizgi<sup>90</sup>, z jakimi przyklekały przed nią, przymierzając fragmenty sukni, zaznaczone białą fastrygą. Obsługiwały z uwagą i cierpliwością milczący idol<sup>91</sup>, którego nic zadowolić nie mogło. Ten moloch<sup>92</sup> był nieubłagany jak tylko kobiece molochy być potrafią, i odsyłał je wciąż na nowo do pracy, a one, wrzcionowate i smukłe, podobne do szpuli drewnianych, z których odwijają się nici, i tak ruchliwe jak one, manipulowały zgrabnymi ruchami nad tą kupą jedwabiu i sukna, wcinały się szczękającymi

<sup>86</sup> *subiekt* (daw.) – sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *amalgamat* – mieszanina różnorodnych składników (pierwotnie stop metalu z rtęcią). [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *emblem* – przedmiot (lub jego plastyczne przedstawienie) symbolizujący jakąś ideę. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *fizjonomia* (daw.) – twarz, wygląd. [przypis edytorski]

<sup>90</sup> *umizgi* (daw.) – zaloty. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *idol* – bożek; przedmiot kultu symbolizujący lub przedstawiający bóstwo. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> *moloch* (mit. semicka) – bóstwo ognia; przen.: coś bezlitosnego, złego, pochłaniającego niewinne ofiary. [przypis edytorski]

nożycami w jej kolorową masę, furkotały maszyną, depcąc pedał lakierkową, tanią nóżką, a dookoła nich rosła kupa odpadków, różnokolorowych strzępów i szmatek, jak wyplute łuski i plewy, dookoła dwóch wybrednych i marnotrawnych papug. Krzywe szczęki nożyc otwierały się ze skrzypieniem, jak dzioby tych kolorowych ptaków.

Dziewczęta deptały nieuważnie po barwnych obrzynkach, brodząc nieświadomie niby w śmietniku możliwego jakiegoś karnawału, w rupieciarni jakiejś wielkiej, nie urzeczywistnionej maskarady. Otrzeptywały się ze szmatek z nerwowym śmiechem, łaskotały oczyma zwierciadła. Ich dusze, szybkie czarodziejstwo ich rąk było nie w nudnych sukniach, które zostawały na stole, ale w tych setkach odstrzygnięć, w tych wiórach lekkomyślnych i płochych, którymi mogły zasypać całe miasto jak kolorową, fantastyczną śnieżycą. Nagle było im gorąco i otwierały okno, ażeby w niecierpliwości swej samotni, w głodzie obcych twarzy, przynajmniej bezimienną twarz nocy zobaczyć, do okna przyciśniętą. Wachlowały rozpalone swe policzki przed wzbierającą firankami nocą zimową – odsłaniały płonące dekolty, pełne nienawiści do siebie i rywalizacji, gotowe stanąć do walki o tego pierrota<sup>93</sup>, którego by ciemny powiew nocy przywiał na okno. Ach! jak mało wymagały one od rzeczywistości. Miały wszystko na sobie, miały nadmiar wszystkiego w sobie. Ach! byłby im wystarczył pierrot wypchany trocinami, jedno-dwa słowa, na które od dawna czekały, by móc wpaść w swą rolę z dawna przygotowaną, z dawna tłoczącą się na usta, pełną słodkiej i strasznej goryczy, ponoszącą dziko, jak stronice romansu połykane nocą wraz ze łzami ronionymi na wypieki lic.

Podczas jednej ze swych wędrówek wieczornych po mieszkaniu, przedsiębranych pod nieobecność Adeli, natknął się mój ojciec na ten cichy seans wieczorny. Przez chwilę stał w ciemnych drzwiach przyległego pokoju, z lampą w rękę, oczarowany sceną pełną gorączki i wypieków, tą idyllą<sup>94</sup> z pudru, kolorowej bibułki i atropiny<sup>95</sup>, której jako tło pełne znaczenia podłożona była noc zimowa, oddychająca wśród wzdętych firanek okna. Nakładając okulary, zbliżył się w paru krokach i obszedł dookoła dziewczęta, oświecając je podniesioną w rękę lampą. Przeciąg z otwartych drzwi podniósł firanki u okna, panienki dawały się oglądać, kręcąc się w biodrach, połsniewając emalią oczu, lakiem<sup>96</sup> skrzypiących pantofelków, sprzączkami podwiązek pod wzdętą od wiatru sukienką; szmatki jeły<sup>97</sup> umykać po podłodze, jak szczury, ku uchylonym drzwiom ciemnego pokoju, a ojciec mój przyglądał się uważnie prychającym osobkom, szepcąc półgłosem: – *Genus avium*<sup>98</sup>... jeśli się nie mylę, *scansores*<sup>99</sup> albo *pistacci*<sup>100</sup>... w najwyższym stopniu godne uwagi.

Przypadkowe to spotkanie stało się początkiem całej serii seansów, podczas których ojciec mój zdołał rychło oczarować obie panienki urokiem swej przedziwnej osobistości. Odpłacając się za pełną galanterii i dowcipu konwersację, którą zapełniał im pustkę wieczorów – dziewczęta pozwalały zapalonemu badaczowi studiować strukturę swych szczupłych i tandetnych ciałek. Działo się to w toku konwersacji, z powagą i wytwornością, która najryzykowniejszym punktom tych badań odbierała dwuznaczny charakter. Odsuwając pończoszkę z kolana Pauliny i studiując rozmiłowanymi oczyma zwięzłą i szlachetną strukturę przegubu, ojciec mój mówił: – Jakże pełna uroku i jak szczęśliwa jest forma bytu, którą panie obrały. Jakże piękna i prosta jest teza, którą dano wam swym życiem ujawnić. Lecz za to z jakim mistrzostwem, z jaką finezją wywiązują się panie z tego zadania. Gdybym, odrzucając respekt przed Stwórcą, chciał się zabawić w krytykę stworzenia,

<sup>93</sup> *Pierrot* – postać z tradycyjnej pantomimy francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *idylla* – sielanka. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *atropina* – lek powodujący rozszerzenie źrenic. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *lak* – topliwa masa używana do pieczętowania listów, barwy czerwonej lub brązowej. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *jeły* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *Genus avium* (łac.) – gatunki ptaków. [przypis edytorski]

<sup>99</sup> *scansores* (łac.) – ptaki z dwoma palcami z przodu i dwoma z tyłu; klasa historyczna, obecnie rozdzielona pomiędzy kilka różnych rzędów. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *pistacci* (łac.) – rząd ptaków, do którego zaliczane są m.in. papugi. [przypis edytorski]

wołałbym: – mniej treści, więcej formy! Ach, jak by ulżył światu ten ubytek treści. Więcej skromności w zamierzeniach, więcej wstrzemięźliwości w pretensjach – panowie demiurdzy<sup>101</sup>

---

<sup>101</sup> *demiurg* – w niektórych systemach religijnych twórca świata, który nie jest jednak tożsamy z najwyższym bogiem. Ponieważ demiurg nie jest ani wszechwiedzący, ani wszechmocny, a akt kreacji był aktem samowolnym, stworzony przez niego świat jest niedoskonały i pełen zła. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.